Dr. W. CICHOCKI

Z CZASÓW „STAREJ PROCEDURY“

PRZEMYŚL
Z DRUKARNI JANA ŁAZORA — PLAC CZACKIEGO 10.
1928.

Z CZASÓW „STAREJ PROCEDURY“

(KILKA WRAŻEŃ I WYPADKÓW)

NAPISAŁ

Dr. WŁADYSŁAW CICHOCKI

em. radca sądowy i adwokat.

Dochód na rzecz „Towarzystwa opieki nad młodzieżą“ zostającego pod protektoratem Adolfa Czerwińskiego prezesa sądu apelacyjnego we Lwowie.

PRZEMYŚL

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI JANA ŁAZORA W PRZEMYŚLU

1928

Trzydzieści lat upływa w bieżącym roku od czasu, jak „stara procedura“ umarła na... starość. Z ostatnich jej sług nieliczne zaledwie jednostki kryją się jeszcze po niektórych trybunałach przed dekretem spensjonowania lub śmierci. Reszta spoczywa już na emeryturze albo na cmentarzu. A nad tymi, co ją w jej rozkwicie widzieli, zapadły się dawno mogiły, napisy nagrobne zatarły.

Nieboszczka procedura wiekową już była staruszką, setnych lat się doczekała. O jej życiu i znaczeniu dla społeczeństwa mnogie tomy pisano, acz ona sama zaledwie półcalowej grubości tomik tworzyła (mam tu na myśli miarodajne w tym względzie wydania Manza). Tak tajemniczą, tak niezbadaną była ta pani (nie powiem, jak każda niewiasta; Polki np. znane są z otwartości). Tu przypomina mi się zdanie znanego ongi w Przemyślu zastępcy prokuratora, a później radcy sądowego, Dra Bieńczewskiego. Na jednej, o szarej godzinie, pogadance biurowej u mojego szefa Wilkego, zwrócił się Bieńczewski do mnie, wówczas początkującego auskultanta z uwagą, że dziesięć lat przynajmniej obcować trzeba z procedurą, aby ją poznać praktycznie.

Miała tedy „stara procedura“ piękną i sławną przeszłość. Uczeni z lubością się jej przyglądali, wnikali w jej istotę, rozbierali ją na części i wyjaśniali, praktyczni zaś prawnicy prześcigali się w wyszukiwaniu sposobów najtrafniejszego stosowania jej do przeróżnych wypadków. A jedni i drudzy unosili się nad przedziwnie mądrym jej układem. Znikomą jednak jest wszelka ziemska chwała! Ostatnie lata procedury zatrute były goryczą, od której rzadko jaka wielkość na starość jest wolną. Rozpoczęło się od szemrania. Szmery te pochwyciła prasa i zgodnie ze swojem usposobieniem ton ich odrazu o całą skalę podniosła. — Z gazet do sejmów i parlamentu — to tylko jeden krok. Tam już powstał krzyk, który się rozeszedł po wszystkich krajach Austrji. Naśmiewano się ze staruszki, szydzono z niej niemiłosiernie (nie przymierzając tak, jakby dziś z ogoniastej sukni balowej). Zapomniano o jej dawnych wdziękach i zasługach, a widziano tylko wady, które w brutalny sposób wytykano. Doszło do tego, że nawet analfabeta z zapadłej wsi galicyjskiej groził tej starej pani kopniakiem. — To ją zapewne najwięcej bolało.

Wreszcie dnia 31. grudnia 1897 r. równo z ostatnim dźwiękiem północnej godziny zgasła po długich i ciężkich cierpieniach moralnych „stara procedura“, pozostawiając po sobie w nieutulonym żalu i zrozumiałym strachu osiwiałych już a w czynnej jeszcze służbie zostających radców.

Świetną pod względem formy i treści mowę żałobną wypowiedział (jeszcze, gdy nieboszczka leżała w agonji), w gmachu parlamentu wiedeńskiego jeden

z najwybitniejszych członków austrjackiej izby panów, a znakomity znawca „starej procedury“ (nazwisko jego zapomniałem). Starzec ten tak się przejął swem zadaniem, że przy końcu oracji zemdlał ze wzruszenia (fakt historyczny).

Nie tu miejsce wykazywać wartość naukową „starej procedury“ i za słabe na to moje siły. Jako jednak ten, co przez siedm lat pracował za jej panowania, mam prawo podnieść jedną, zdaniem mojem, nader dodatnią jej stronę. Oto przyczyniała się ona niezmiernie do podniesienia powagi i godności stanu sędziowskiego i adwokackiego. Starsi sędziowie i radcowie, którzy załatwiali spory cywilne, nie stykali się, można powiedzieć, prawie nigdy ze stronami. — Powodowała to pisemność postępowania i wyrokowanie na tajnych sesjach. Znała wprawdzie ówczesna procedura także „postępowanie ustne“, praktyka jednak tego sposobu procesowania się nie uznawała i mocą prawa zwyczajowego przemieniła go w pisemny proces, pozostawiając ustność tylko „na papierze“. Również adwokaci cywilni, którzy spraw karnych nie przyjmowali (a mogli sobie wówczas na to pozwolić), walczyli z przeciwnikami swymi nie „gębą“, lecz piórem.

Walka myślami, duchowa, cicha, spokojna, niby gra w szachy na odległość. Nieprzystojne maniery, śmieszne nawyczki, nerwowe wykrzykniki i tym podobne słabostki sędziów, a porywczość i namiętne wybuchy adwokatów kryły się w czterech ścianach biur i kancelarji.

Sędzia przyrzeka przed objęciem urzędu, że w wymiarze sprawiedliwości nawet sympatją powodować się

nie będzie. Ależ są fizjognomje na pierwszy rzut oka tak pociągające, lub tak niemiłe, że nadludzkiej zaiste trzeba siły, aby się oprzeć temu wrażeniu. Ileż to razy zdarza się dzisiaj, że sędzia nie mający żadnych innych wskazań, prócz wyglądu oblicza stron, daje wiarę tej osobie, która sympatyczne zrobiła na nim wrażenie. A to odbicie nie zawsze jest wiernym obrazem duszy człowieka. Nieraz jest ono złudą, a zawsze subjektywnem tylko odczuciem. Sprawiedliwość zaś winna być objektywną. W takim wypadku sędziemu dostaje się wdzięczny uśmiech wygrywającego, ponure wejrzenie przegrywającego. Ale u obu stron rzeczywista wartość jego się zmniejszyła. — A czyż to nie na porządku dziennym, że adwokat przedstawiający w sali rozpraw zbyt energicznie stan sprawy wedle informacji swego klienta, dostaje w toku przemowy od przeciwnego klienta takiego szczutka, jak: „nie pleć pan, czyś pan tam był?“ Jeżeli zaś staną naprzeciw siebie dwaj nerwowi adwokaci, jakąż to oni sprawią uciechę swym niewybrednego smaku klientom?

Podobne sceny były za dawnej procedury wykluczone. Pisemność postępowania tworzyła niejako nimb oddzielający sądownictwo i palestrę od publiki. Ta tajemniczość, to odcięcie sędziego od stron procesujących się nietylko nie umniejszały zaufania publiczności do sądów, lecz przeciwnie, świadomość, że sędzia nie zna nawet stron, potęgowała je. Wiarę w bezstronność sędziowską podtrzymywała dzielnie główna zasada dawnej procedury: „quod non est in actis, non est in mundo“. Procesem kierowały same strony. Niemożliwym tedy był wówczas zarzut, jaki dziś dość często

niestety, słyszeć się daje, że sędzia pokierował sprawą tak, jak mu jego zła wola dyktowała.

Osoby oddalone lub kryjące się za zasłoną, rosną duchowo i moralnie w naszej imaginacji.

Wrodzona ludziom chęć przedstawiania się światu w świetle dodatniem zmuszała dawnych sędziów do utwierdzenia tej nieco przedobrej o nich opinji. Na tej niewinnej złudzie obie strony zyskiwały. Wspólnemi siłami podnosiły one (choćby mimowolnie) piedestał sprawiedliwości.

Nie mniejszym szacunkiem otaczano stan adwokacki, uważając go słusznie za równoważny i do wymiaru sprawiedliwości niezbędny czynnik. Jaką powagą byli u nas dawniej adwokaci, niechaj świadczy fakt następujący: Oto jeden pułkownik austrjacki z niemieckiej, ale w Galicji osiadłej rodziny, opowiadał mi (w Złoczowie) przed wojną, że on raz będąc jeszcze chłopcem poszedł był z ojcem, również wyższym oficerem, w jakiejś sprawie do jednego adwokata w Tarnowie. Jak do świątyni — te były jego słowa — wchodziliśmy do kancelarji tego adwokata. Dodał jednak, że wówczas było w Tarnowie tylko czterech adwokatów.

Sapienti sat.

Najpoważniejszym zarzutem, jaki czyniono dawnej procedurze, była powolność i drogość postępowania. Przyznaję, że procesy dawniejsze wlokły się latami, a nieraz i pokoleniami. Nie przepisów jednak było to winą, lecz prawie zawsze ich wykonawców, a nieraz i samych stron. Sędziowie przewlekali sprawy, czynili zaś to nie z innej przyczyny, jak z konieczności. Obsada sądów, zwłaszcza powiatowych, była wprost

nędzną. Z wyjątkiem kilku większych sądów, jak w Drohobyczu, Brodach i Stryju, wszystkie inne średnie miały po trzech, małe zaś sądy, jak w Dubiecku i t. p. po dwóch sędziów łącznie z naczelnikiem sądu. Cały dział cywilny (wszystkie sprawy spadkowe, procesowe, hipoteczne i egzekucyjne) dźwigał jeden sędzia. Nie było wówczas żadnych formularzy i wszystkie chociażby najprostsze uchwały i polecenia, musieli sędziowie własnoręcznie pisać. Materjał procesowy gromadzili adwokaci aż do zakończenia sporów, do t. zw. spisu aktów. Sędzia nie wglądał w treść spraw procesowych w toku sporu, bo było to zupełnie niepotrzebnem. Ale za to każdy nowy „spis aktów" napawał go przestrachem. Sam widok grubych tych a tajemniczych zwojów zalegających szafy biurowe wystarczał, aby obowiązkowego sędziego wysoce zaniepokoić i zasmucić. Mimo najlepszej chęci był on bezsilnym, zagłuszał się w sumieniu. Czyż więc dziwić się mamy, jeżeli sędzia tak ciężko objuczony starał się wszelkimi możliwymi środkami nowe ciężary od siebie jak najdalej odsunąć? A możność tę dawały mu nie przepisy ówczesnej procedury, lecz sposoby i sposobiki, przez praktyków wynalezione i długoletniem istnieniem uświęcone. — Największego kalibru odsuwaczem „spisu aktów" było odraczanie nie rozpraw, bo one w rzeczywistości nie istniały, lecz pism spornych.

Stara procedura wyznaczała dla całego procesu cztery pisma sporne, po dwa dla każdej ze stron. — Ostatniem pismem miała być t. zw. duplika. W wypadkach wyjątkowych wolno było stronom wnieść jeszcze po jednem piśmie t. zw. tryplikę i quadruplikę.

W takim razie proces składał się z sześciu pism spornych. Wyjątek ten zamieniła praktyka w regułę. — Zarówno sędziowie, jak i adwokaci przyznać musieli, że trudno było wynaleźć taki proces, któryby się w ramach tych czterech pism nie zmieścił, nie dał należycie wyczerpać. To też tryplika i quadruplika były tylko powtórzeniem, streszczeniem tego, co zawierały poprzednie pisma sporne. Ależ nie koniec na tem. Potrzeba uczy rozumu (czytaj przebiegłości). W owych ciężkich czasach nie było nic nieprawnem, coby mogło odroczyć „spis aktów". Praktyka dodała do wyjątku jeszcze swego wyrobu wyjątek i zaprowadziła dwa nowe pisma „końcową odpowiedź" i „odpowiedź na odpowiedź". W tych pismach już po raz drugi młócono tylko słomę. Pustych tych frazesów sędziowie przy załatwianiu „spisu" zwyczajnie nawet nie czytali. — Tem chętniej więc na wniesienie ich zezwalali. Jeszcze nie koniec. — Termina do wniesienia tych istnych bredni znowu kilkakrotnie odraczano, aby tylko ciężar od siebie odepchnąć. Sędziowie tak zobojętnieli na interesy stron, że u niektórych następował zupełny zanik czucia w tym kierunku. — Wszak jednemu z naczelników sądu wytoczono dyscyplinarkę za to, że ten pan (zdjęty przestrachem na widok kilkuarkuszowych pism spornych, istnych broszur i licznych załączników) termin do wniesienia „końcowej odpowiedzi" odroczył nie mniej, tylko dwanaście razy. — Ponieważ każdorazowe odroczenie obejmowało dwumiesięczny okres czasu, więc ten sędzia wyznaczył do wniesienia jednego tylko (zupełnie niepotrzebnego) pisma aż dwuletni termin.

W Sądowej Wiszni znalazłem między zaległościami stanowiącemi spadek po moim poprzedniku jeden od przeszło roku leżący spis aktów w sporze awizacyjnym o wyrzucenie żyda z karczmy. Sprawy takie i w starej procedurze do nader pilnych się zaliczały. Usunąłem tedy na bok inne „kawałki“, a wziąłem się do tego procesu. Zaledwie jednak uporządkowałem sobie akta wedle „priorów“ (porządkowego następstwa pism), gdy do mego biura wszedł dyrektor hipoteki, Rozborski (zdolny urzędnik i znający sąd na wylot). Ten widząc moje zniecierpliwienie zapytał, czy nie jestem zajęty jaką pilną sprawą? Wskazałem na leżący przedemną proces. Rozborski uspokoił mię mówiąc, że ten „spis“ jest bezprzedmiotowy, bo właściciel wsi, nie mogąc doczekać się wyroku, samosądnie wykurzył arendarza, a i karczma już dawno spłonęła.

Pomnożenie sił sędziowskich w dwójnasób, zwłaszcza na powiecie i częste lustracje sądów byłyby niezawodnie w przeciągu dwóch lub trzech lat usunęły zaległości z dawnych czasów. Przywrócenie normalnych stosunków sprowadziłoby było również umysłową równowagę u pracowników, a zadowolenie i ambicja stanowiłyby potężny bodziec do utrzymania się na zdobytem stanowisku. Śmiało można twierdzić, że wśród takich warunków możnaby było procesa skończyć w czasie nie o wiele dłuższym, niż się to dzisiaj odbywa. Ale o pomnożeniu sił w sądach, zwłaszcza tak upośledzonych, jakimi były nasze sądy, ówczesne rządy ani słyszeć nie chciały. Do starych budynków nikt chętnie nowych mebli nie wnosi. Wołano tedy o nowy

gmach. Gdy ten stanął, znalazły się fundusze na odpowiednie jego urządzenie.

Ludzi wyrabia nie tylko dom i szkoła, ale także zawód, otoczenie i warunki, wśród jakich oni pracują. Ówczesne przeciążenie, brak sił, powolny tok czynności i powolniejszy jeszcze awans (dziesięć lat czekać musieli w Galicji adepci Temidy na najniższą stałą posadę sędziowską), wytwarzały sędziów i innych urzędników sądowych prawdziwie starego autoramentu. Stosunki między przełożonymi i podwładnymi, jako też między starszymi a młodszymi kolegami były zupełnie odmienne od dzisiejszych.

Radcą zostawało się zwyczajnie przy końcu służby sędziowskiej, a jak szczupłą była ich garstka!

Gdym z początkiem r. 1890 wstąpił do służby przy sądzie obwodowym w Przemyślu, cały trybunał tamtejszy składał się z pięciu radców. Byli to mężowie osiwiali w pracy, prawdziwi senatorowie. — My młodzi spoglądaliśmy na te powagi z bojaźnią pełną szacunku. Byli tacy praktykanci, którzy idąc z „wyrobioną sesją“ do radcy, pod drzwiami biura jego najpierw się żegnali, nim do drzwi zapukać się ośmielili. Przesadna opinja ogółu o znaczeniu jakiegoś osobnika dla społeczeństwa wytwarza w jego duszy nadmierne o sobie mniemanie, które u ludzi duchowo mniej subtelnych zamieniać się zwykło w dumę, zarozumiałość, a nawet w pogardę dla tych, którzy nie nauką i zdolnościami, lecz z natury rzeczy, jak np. wiekiem, latami służby i t. p. niżej od nich stoją.

On myśli, że jest jakim radcą, mówiono o tym, który z góry ludzi traktował, nie mając do tego żadnych

danych. — To też byli tacy radcowie, którym się zdawało, że już samo ich stanowisko urzędowe uprawniało ich do uważania siebie za nadludzi.

Przytoczę tu jeden wypadek z własnego doświadczenia.

Wstępując do służby sądowej miałem za sobą trzy państwowe egzamina i doktorat. Mimo tego drżałem na myśl, że zbliża się chwila, kiedy moje wiadomości okazać trzeba będzie praktycznie. Doktorat w sądownictwie należał wówczas do rzadkości. Aby tedy zyskać względy mojego szefa (radcy Leszczyńskiego) postanowiłem sobie przy prezentowaniu się mu nie wymieniać mojego tytułu naukowego. W myśli tej utwierdziła mię uwaga jednego z moich kolegów, że Leszczyński nie lubi nowicjuszów. Z bijącem sercem wszedłem do biura, gdzie prócz przyszłego mojego szefa zastałem jeszcze kilku nieznanych mi panów. Przedstawiłem się najstarszemu z nich z wyglądu. Leszczyński spojrzał na mnie z góry i mrużąc oko, zapytał ironicznie:

Czy pan jesteś doktor?

Tak — odpowiedziałem z cicha.

A czy pan taki sam doktor-bałwan, jakiego ja niedawno miałem u siebie?...

Krew uderzyła mi do twarzy, oniemiałem...

Zaraz panu pokażę — mówił dalej Leszczyński, — że pan nic jeszcze nie umiesz...

Tu wskazał ręką na biurko dla mnie przeznaczone i rzekł tonem rozkazującym:

Weź currensbogen, spisz currentia i zanieś do prezydenta.

Leszczyński do każdego auskultanta przemawiał przez „ty“.

Słowa te były istną dla mnie chińszczyzną. — „Currensbogen“ to arkusz papieru z odpowiedniemi rubrykami na prasie sądowej wybitemi, „currentia“ gotowe referaty, które szły do prezydenta do aprobaty wprost bez sesji; rzeczy dla teoretyka, a nawet dla praktyka w innem biurze pracującego tajemnicze, w rzeczywistości drobnostki prawie bez znaczenia.

Teraz jasną mi już była myśl pana radcy. Stałem oszołomiony jego rozumem i delikatnością uczuć.

Takich osłów posyła mi tu prezydent — krzyknął Leszczyński ze złością godną wachmistrza, pochylił się nad mojem biurkiem, wypisał kilka liczb na „currensbogen'ie“, który następnie z jakiemiś papierami wrzucił mi do ręki i odesłał mnie z tem do prezydenta.

Prima lectio brevis esto.

Na tem skończył się pierwszy dzień mej praktyki sądowej. Była to bowiem niedziela.

Nazajutrz szedłem do sądu z uczuciem śmiertelnego strachu. Szefa mego nie było jeszcze w biurze, co mię nieco uspokoiło. Usiadłem przy mojem biurku, na którem leżała długa wązka książeczka z napisem „ternion III“, a w niej paczka aktów i akcików.

Nim jeszcze zdołałem przypatrzeć się tym tajemnicom, wszedł do biura Leszczyński. Na mój ukłon nie zwrócił on nawet uwagi i w ponurem milczeniu, z kapeluszem na głowie (sic!) kroczył ostro ku swemu biurku. Gdy usiadł, zaniosłem mu wspomnianą książeczkę z aktami. Szorstkim ruchem ręki odsunął on książkę i kazał mi wciągnąć pocztę do ternionu (biurowego

protokołu). Przypatrzywszy się dokładnie wszystkim rubrykom „ternionu“, a wzorując się na zapiskach poczynionych w nim przez mojego poprzednika wykonałem polecenie i powtórnie zaniosłem akta szefowi. — Leszczyński wydzielił z nich kilkanaście numerów, które mi zwrócił mówiąc: to masz załatwić.

Z pełną bojaźni ciekawością przeglądnąłem mój przydział. Znalazłem w nim z jakich dziesięć jednorodnych kawałków. Były to półarkusze złożone przez długość na pół. Z lewej strony u góry wypisane były następujące słowa: „Nadzór więźni zawiadania, że N. N. zasądzony wyrokiem sądu obwodowego w Przemyślu z dnia .... na karę ...... więzienia, zgłosił się z wolnej stopy do odpokutowania kary“. — Rzecz widocznie jakaś nie trudna — pomyślałem. Policzyłem sobie wszystkie tego rodzaju kawałki i cieszyłem się myślą, że gdybym znalazł sposób załatwienia jednego, tobym się odrazu pozbył dziesięciu liczb. Ale jak to zreferować? — jak nadzorowi więźni na jego relację odpowiedzieć? Biorąc na rozum, najodpowiedniej byłoby napisać: „dobrze zrobił“. Sposób ten wydał mi się za mało urzędowym. Widząc, że sam nic nie wymyślę, ośmieliłem się drżącym głosem zapytać mojego szefa o sposób załatwienia.

Idź do registratury, tam się wszystkiego można nauczyć — otrzymałem krótką odpowiedź.

Udałem się do starszego odemnie o rok w służbie kolegi Malarkiewicza w sąsiedniem biurze urzędującego. Ten rzuciwszy okiem na okazany mu akt, z uśmiechniętą miną wyśpiewał mi to zdanie:

„Nadzorowi więźni — tu — poleca się, aby N. N. z dniem dzisiejszym na karę przyjął, a z dniem następnym wiktem skarbowym zaopatrzył“.

Podziękowawszy koledze za poradę wróciłem do mojego stolika, gdzie z niedającem się opisać zadowoleniem w krótkim czasie zreferowałem większą część mojego przydziału.

Był to mój pierwszy w urzędzie referat godny tego, abym go sobie na całe życie zapamiętał.

Nieraz jeszcze później przychodził mi z pomocą (dziś już nieżyjący) Malarkiewicz. — Pokój ci wieczny za to kochany kolego!

Wracam jeszcze do radcy Leszczyńskiego. Wprawdzie de mortuis nil nisi bene, ale czynię to nie w innej myśli, jak tylko dla spełnienia moralnego obowiązku wobec młodszych odemnie kolegów. Przytoczone wyżej słowa i gesta Leszczyńskiego dają nam poznać kontury zewnętrznej i duchowej jego istoty.

Znana jest nasza pochopność do generalizowania poszczególnych wypadków, do uogólniania pojedynczych postaci. Leszczyńskiego obdarzyła natura nie małemi zdolnościami. Lenistwo, brak etyki i zamiłowania do zawodu sędziowskiego zniszczyły te dary. Gdym go poznał, nie umiał on ani sam pracy swej dobrze wykonać, ani drugich niczego nauczyć. Człowiek na wszelkie wyższe wartości nieczuły, zarówno w obejściu, jak w słowie i piśmie prostak, nie mógł on w nikim szlachetniejszych uczuć obudzić. Pieniądz jedynie wzruszyć go zdołał. Zaliczał się też Leszczyński do najbogatszych obywateli Przemyśla.

Był on żywym dowodem tego, jak materjalizm zdziera godność z człowieka. Na szczęście była to między sędziami starej daty postać wyjątkowa. Wszyscy niemal dawniejsi radcowie i naczelnicy sądów powiatowych nie umieli wyzbyć się przesadnego nieco o sobie rozumienia, takiego jednak okazu, jakim był Leszczyński, nie spotkałem nigdy później, chociaż jak piłką rzucano mną po rozmaitych sądach.

Przechodzę teraz do innego wypadku, który od czasu wprowadzenia nowej procedury z pewnością żadnemu sędziemu jeszcze się nie zdarzył.

Mając trzy lata i półtora miesiąca służby, przydzielony zostałem do sądu powiatowego w Sądowej Wiszni jako zastępca urlopowanego z powodu choroby adjunkta Zubrzyckiego. Naczelnikiem sądu tego był wówczas Wołoszczakiewicz. Zubrzycki prowadził cały dział cywilny, oddział zaś karny spoczywał w ręku starszego odemnie auskultanta Hoszeka (dziś wiceprezesa sądu przemyskiego). — W Przemyślu ostrzeżono mnie, że Wołoszczakiewicz jest satrapą i że w sądzie Sądowo-Wiszeńskim nagromadzone są stosy cywilnych zaległości. Staraj się do karnego — rzucili mi koledzy na pożegnanie.

Dnia 17. kwietnia 1893 o godz. 5-tej popołudniu zajechałem pod „dom pański“ w Sądowej Wiszni. Naczelnictwo sądu i oddział cywilny umieszczone były na piętrze, gdzie się także znajdowało prywatne mieszkanie Wołoszczakiewicza. Idąc po schodach na górę myślałem sobie, jak szczęśliwym mieniłbym się, gdyby to było już po czekającej mię operacji duchowej. Pan naczelnik przyjął mię lodowato. Bez przesady powiem,

że dreszcz mię przenikał. Na pytanie, w jakim dziale ostatnimi czasy pracowałem, odpowiedziałem (zgodnie z prawdą), że w karnym. Byłem pewny, że jako młodszy od Hoszeka dostanę karny oddział. — A tu pan obejmie cywilne, — brzmiała krótka i stanowcza odpowiedź. — Zapowiedzią, że następnego dnia otrzymam paczkę „pilnych" zaległości, pożegnał mię Wołoszczakiewicz.

Nazajutrz przysłano mi z naczelnictwa spis zaległości z pisemnem poleceniem, abym te „liczby" w jak najkrótszym czasie zreferowane przedłożył. Liczba „tych liczb" wynosiła 77. O rozmiarach i treści „paczki" niech świadczy fakt, że zawierała ona kilkadziesiąt „spisów aktów". Otworzyłem szafę, aby tam schować te straszydła, a tu nowy postrach: Pułki szafy uginały się pod stosami zaległości nie pilnych, ale również proszących się o załatwienie. Widok ten przykuł mię na chwilę do ziemi.

A jednak to „nieszczęście" było tem złem, które na dobre mi wyszło. Składniki „paczki" stały się moją lekturą domową. Każdego wieczora po kolacji rozczytywałem się w aktach procesowych z rozkoszą podlotka pochłaniającego zakazane romanse. Decyzje apelacyjne i rozstrzygnienia najwyższego sądu były dla mnie nieprzebraną skarbnicą praktycznej wiedzy prawniczej. — Po przeczytaniu każdego „spisu aktów", w którym wyroki poprzedników moich zostały przez wyższe instancje zniesione, zadawałem sobie najpierw pytanie, jakbym ja sprawę rozstrzygnął, a dopiero potem odczytywałem z ciekawością dziecka pragnącego zbadać wnętrze skomplikowanej zabawki, orzeczenia pierwszej

i następnych instancji. — Tak więc te pożółkłe arkusze nauczyły mię samodzielności.

Życie samoistne od lat chłopięcych nauczyło mię ostrożności w sądzeniu ludzi wedle opinji innych. Wołoszczakiewiczowi przypatrywałem się dłuższy czas, nim sobie zdanie o nim wyrobiłem.

Nie był on wolnym od wad, któremi sam sobie najwięcej szkodził. Lekkomyślność górowała między niemi. Lubiał rozkazywać, a nie umiał w mierze się utrzymać, czem sobie najwięcej zrażał podwładnych. Ale grunt był dobry u tego człowieka i czułe serce. Głowa nie zła. Umiał ocenić pracę i uczciwość.

W życiu towarzyskiem miły i delikatny, pożądanym był wszędzie towarzyszem.

Opowiem teraz o nowym wypadku.

W sobotę Wielkiego Tygodnia r. 1894 przychodzę do biura Wołoszczakiewicza i proszę go o urlop na niedzielę i poniedziałek. Wołoszczakiewicz spojrzał na mnie zdziwiony i zapytał, jakby przerażony:

Czyś pan zmysły postradał?

Dlaczego?

Czy pan kiedy słyszał, aby auskultant miał aż dwa dni urlopu?

Dostałem z dwóch domów zaproszenie na święta,— ośmieliłem się zauważyć. Równocześnie uczułem w duszy strach, że może mię ominąć sposobność spędzenia kilku godzin w dwóch zacnych domach, u państwa Edwardów Woźniakowskich, właścicieli Ostrowa pod Przemyślem i u państwa Weirichów w Przemyślu.

Ja jadę — mówił dalej mój szef — z rodziną na święta do szwagra do Mościsk (do notarjusza Krókow-

skiego, późniejszego prezesa izby notarjalnej we Lwowie), a pana zaproponowałem na kierownika sądu; zresztą na moją odpowiedzialność pozwalam panu pojechać w niedzielę popołudniu na kilka godzin, ale żebyś mi pan wrócił wieczornym pociągiem o 8-ej godzinie.

Dziękuję i za to.

Wróciłem do biura mego uradowany, że już nazajutrz po południu znajdę się w Ostrowie w pośród dobrych ludzi, serc mi życzliwych i że odetchnę atmosferą podniosłym duchem pani domu Magdaleny ze Sozańskich owianą.

Dzisiejszy aplikant sądowy oburzyłby się zapewne, gdyby dwudniową jego nieobecność w biurze w czasie głównych świąt urlopem nazwano, za krzywdę zaś uważałby postępek przełożonego sądu, któryby mu takie dwa dni do urlopu dla wytchnienia wliczyć się ośmielił. Młodziutki aplikant dziś każdego roku przez dwa tygodnie wypoczywa. Dawniej osiwiały radca o czemś podobnem marzyć nawet nie śmiał. Tylko świadectwo lekarskie upoważniało do prośby o wypoczynek. Gdyby jednak radca co rok poważył się był z taką prośbą wystąpić, naraziłby się był niechybnie na nakaz spensjonowania się, co w najlepszym razie pociągało za sobą utratę dodatku aktywalnego. — Mimo to chętnie i wesoło wszyscy pracowali w przekonaniu, że służą nie państwu „zaborczemu", lecz własnemu społeczeństwu.

W Sądowej Wiszni znalazłem nietylko naukę, jak samodzielnie pracować w zawodzie, ale i sposób rozwinięcia sił moich na polu pracy społecznej.

Dwukrotny pobyt mój tamże łącznie dziesięcioletni okres czasu obejmujący dał mi sposobność poznania wszystkich tamtejszych obywateli, ich zwyczajów i obyczajów. Od pierwszej niemal chwili przylgnąłem do tych spokojnych, dobrych ludzi, a uczucie moje mnie nie zawiodło. Wziąłem się do pracy z nimi dla dobra ich miasta i zarówno między inteligencją, jak i mieszczanami znalazłem chętnych pomocników. Na wyszczególnienie zasłużył sobie przedewszystkiem nauczyciel szkoły powszechnej Jan Głuszkiewicz. Był on nietylko dzielnym pedagogiem, w uznaniu czego w młodym jeszcze wieku otrzymał nominację na dyrektora tamtejszej szkoły męskiej. Prawością charakteru i poważnem pojmowaniem obowiązków wyrobił sobie ten mąż znaczenie, któregoby mu niejeden wyższe znacznie stanowisko w hierarchji społecznej zajmujący pozazdrościł.

Z mieszczan tamtejszych godni wymienienia, długoletni burmistrz ś. p. Szymon Torski, dalej Józef Ohly, ojciec obecnego komisarza miasta Emila, który mimo młodego jeszcze wieku swego, dla rodzinnego miasta swojego nie małe poniósł zasługi, dalej Józef Świtlik, Andrzej Borecki, Szczepan Procko, a wreszcie rodziny Truchanowiczów i Tychonowiczów. Wszyscy oni chętnie spieszyli tam, gdzie praca obywatelska do szeregu wzywała. Ale i po wsiach, należących do sądu w Sądowej Wiszni, spotykałem gospodarzy odznaczających się poczuciem obowiązku wobec spraw publicznych. Takimi byli np. Bazyli Michalunio i Franciszek Półtoranos w Podliskach, Antoni Borecki, wójt w Dołhomościskach i inni. Praca wspólna z wymienionemi osobami w Są-

dowej Wiszni złączyła mię ściśle z ich miastem, którego losami dotychczas żywo się interesuję. Gdy dodam, że tam poznałem towarzyszkę życia mego, śmiało rzec mogę, że lata spędzone w tem wolnem królewskiem mieście do najmilszych w mojem życiu zaliczam.

Nie mogę skończyć tych wspomnień, aby się przynajmniej na chwilę nie przenieść myślą do Przemyśla takiego, jakim on był przed czterdziestu laty. Opis ówczesnego wyglądu tego grodu innemu pióru pozostawiam. Napomknę tylko, że ulica Franciszkańska postacią swą przypominała mieszczkę stojącą na progu między chusteczką a kapeluszem, której hotel „pod dębem“ wcale na miejscu się wydawał, a która na dwupiętrową kamienicę Michalskiego naprzeciw kościoła Franciszkanów z czcią winną pałacowi spoglądała, że „wybrzeże“ (dawniej „Franciszka Józefa“) zaledwie do zaszczytu trotoaru było powoli przypuszczane, leżąca zaś naprzeciw część lewego brzegu Sanu znajdowała się w posiadaniu ludzi z wszelkiej własności i godności wyzutych, że kilkaset kroków za mostem (drewnianym w stylu włościańskim) rozpoczynało się głuche przedmieście „Węgierskie“ i t. p.

Ja przywołać chcę na pamięć osoby, z któremi w Przemyślu za starej procedury pracowałem, lub z któremi z mocy mego urzędu stykać się musiałem.

W chwili wstąpienia mego do sądu w Przemyślu stał na czele tej instytucji prezydent Pressen, radca Dworu ad honores. Był to mąż poważny, spokojny, w obejściu delikatny, zdolny cywilista. — Lubiał sądową młodzież i był jej prawdziwym opiekunem. —

W dwa miesiące później żegnaliśmy go z prawdziwym żalem. Poszedł na emeryturę. Po nim przyszedł Dylewski z Czerniowiec.

Należał on do najmłodszych w Austrji prezydentów. Wielki zasób sił fizycznych i umysłowych, ruchliwość i rzutkość nie pozwoliły mu ograniczyć się na sądzie i popychały go do brania udziału w życiu towarzyskiem i społecznem. Chęć znaczenia była nie małym ku temu bodźcem. Od podwładnych dużo wymagał, nikomu jednak nie szkodził.

Prokuratorją kierował Dr. Prachtel Morawiański. Uchodził on za dziwaka. Znak to zwyczajnie ludzi obdarzonych wyższemi zaletami. Prachtel budził u każdego szacunek i zaufanie a dla podwładnych był najlepszym ojcem.

Zastępca Prachtla, Bieńczewski, mąż światły, oczytany, należał do tych rzadkich urzędników, którzy umieją i obowiązki swego zawodu rzetelnie wykonać i dalej się kształcić a to nie tylko w ramach swego urzędu.

Bieńczewski interesował się polską literaturą i miał w tym kierunku wyrobiony smak. W zapatrywaniach na świat był idealistą.

Później powiększono statut prokuratorji o drugiego zastępcę, którym został Dr. Mandybur, mężczyzna okazały a mąż prawy, szacunku godzien.

Między radcami największe znaczenie mieli Schmidt i Przybylski. Pierwszy z nich powołany został wkrótce na prezydenta sądu do Złoczowa.

Przybylski był prawym człowiekiem, a jako urzędnik odznaczał się pracowitością i sumiennością. To

też świecił młodszym od siebie pięknym przykładem. Został on później radcą apelacyjnym we Lwowie, a umarł jako radca dworu przy tejże apelacji.

Cichymi, skromnymi pracownikami byli radcowie Nennel i Skala. Pierwszy z nich łączył z dobrocią i jowialnością także uczynność. Odznaczał się nadto nader subtelnem uczuciem w wymierzaniu złoczyńcom sprawiedliwości.

Sekretarzami sądu byli Ilnicki, Lisieniecki i Szechowicz, zdolni i pracowici sędziowie. Z adjunktów umieli sobie w szerszych kołach zdobyć popularność Królikowski i Żebracki. Pierwszy z nich odznaczał się imponującą postawą o wojskowem zacięciu (lubiał bardzo uniform austrjackiego rotmistrza ułanów) — drugi humorem i dowcipem. — Później przybył świeżo mianowany adjunkt Malina (obecnie prokurator apelacji we Lwowie), który dał się poznać jako zdolny i szybki robotnik, a w każdym calu urzędnik. — Adjunktami byli także Dr. Misiński, zdolny cywilista (dziś prezydent sądu w Stryju) i Haszczyc. Ten ostatni miał sławę znakomitego praktyka w przekroczeniach, a był dobrym, każdemu życzliwym kolegą.

Najwybitniejszą siłą sędziowską w całym trybunale przemyskim a jak się później okazało, także w całej lwowskiej apelacji, był sekretarz Włodzimierz Wilke.

Przez ośmnaście miesięcy pracowałem w jego biurze, miałem więc czas poznać mojego szefa. Mnogie były zalety, jakiemi Bóg męża tego obdarzył, a tak lite i takiej mocy, że każdego musiały uderzyć i ku sobie pociągnąć. Zdolność i bystrość tryskały z jego oczu, prawość zdobiła jego oblicze, rozsądek i umiar

kierowały jego krokami. Jurysta pierwszorzędny, a w stosowaniu przepisów do praktycznych wypadków mistrz nad mistrze. Kilku słowy umiał on więcej nauczyć, niż inni także zdolni godzinnemi kazaniami.

Nietylko ja miałem sposobność o tem się przekonać. Potwierdzali to także starsi odemnie w służbie, już osiwiali radcowie, którzy w r. 1897 byli uczniami Wilkego na kursach w Przemyślu, ustanowionych przez ministerstwo sprawiedliwości dla sędziów w przededniu wprowadzenia nowej procedury. O wartości Wilkego świadczy najlepiej fakt, że w najwyższym trybunale sprawiedliwości we Wiedniu zamianowano go prezydentem senatu z pominięciem całego szeregu starszych odeń radców dworu. Był to pierwszy w tej wysokiej magistraturze pod tym względem wyłom, tem znamienniejszy, że uczyniony przez niemców dla słowianina.

Nie mało cennych wskazówek zawdzięczałem Wilkemu, najdroższą mi jednak zawsze była jego życzliwość, którą mi do końca życia swego okazywał. Tych kilka słów rzucam dzisiaj jako słaby dowód mej wdzięczności na mogiłę niezrównanego szefa mojego.

Wprowadzę teraz czytelników do koła młodzieńców z przed czterdziestu lat, do tak zwanych wówczas auskultantów. Apostolską liczbę tworzyło to grono w Przemyślu za moich czasów. Ja byłem między nimi dwunastym z rzędu. Trzej najstarsi Lorek, Kopietz i Grochowicz z imienia tylko zaliczali się jeszcze do tego wesołego towarzystwa. W rzeczywistości stali oni już na pasie neutralnym, skąd gołem okiem oglądać mogli świat, który nam młodszym w marzeniach tylko wolno było sobie przedstawiać. Świat pełen uroczych

nimf, pomykających z lekka przed ścigającymi je w „prysiudach“ dojrzałymi już do ożenku adjunktami sądowymi. Błogosławieni ubodzy w duchu! Ci szczęśliwcy byli przekonani, że to oni „łapali“. Któryż jednak z nas nie chciałby jeszcze być łapanym?

O błoga rozkoszy!!

Na ten istny „plac wystawowy“ zjeżdżali się także rozmaici komisarze, a to: namiestnictwa, skarbu, leśnictwa, kolei i t. p. Odbywały się tam również transakcje kupna, sprzedaży i kontrakty losowe. Coś niby „targi wschodnie“.

Już w trzy miesiące po mojem wstąpieniu do sądu przekroczyli wymienieni seniorowie linję demarkacyjną i nie uniknęli zastawionych na siebie sideł.

Mimo to a może właśnie za to doszli dwaj pierwsi do wysokich godności w sądownictwie.... Lorek (dobra, zacna dusza) został prezydentem sądu w Czortkowie, Kopietz sędzią Sądu Najwyższego.

Po nich berło starszeństwa między nami ujął Nehrebecki i godnie je piastował. Wysoki, barczysty, poważny, z wielką łysiną, już samą postawą górował nad nami.

Gdy na wizytację sądu w Przemyślu przyjechał minister sprawiedliwości hr. Schönborn, a prezydent Dylewski przedstawiał personal sądowy, minister zobaczywszy łysego Nehrebeckiego i widocznie nie dosłyszawszy słowa „auskultant“, zapytał go, czy wniósł już podanie na naczelnika sądu. Nehrebecki odpowiedział: „leider, Excellenz, ich bin noch Auskultant“.

Nehrebecki prowadził w sądzie miejsko-delegowanym największe biuro spadkowe, a jako były kandydat

notarjalny posiadał w pertraktacjach spadkowych praktykę tak rozległą i takie doświadczenie, że stanowił w tym przedmiocie dla całego Przemyśla ostatnią instancję. Radca Przybylski opowiadał mi raz, że gdy go ustanowiono naczelnikiem sądu delegowanego, korzystał wiele ze wskazówek podwładnego sobie auskultanta Nehrebeckiego. Ze względu na znaczną różnicę wieku nazywali go młodsi auskultanci „ojcem Nehrebeckim“. Dzielił się też on po ojcowsku wiedzą swoją ze „smarkaczami...“

Powagą w obwodzie był auskultant Wilecki. Liczył on wówczas dopiero siedm lat służby, a mimo to prowadził pierwszy (największy) „ternion“ radcy Schmidta. Był to jedyny w całym sądzie auskultant, który chodził na sesję jako referent. Co sobotę kroczył on razem z radcami do prezydjum, dźwigając pod pachą „spisy“ grubości mszałów cerkiewnych. Byliśmy tem zdumieni, cośmy okazywali w taki sposób, że sami radcowie czuli, iż ukłon nasz im składany należał się w 90% Wileckiemu. Poważny, spokojny i taktowny szedł on zawsze miarowo, jak do sądu, tak i w życiu, prostą drogą. W wydawaniu sądu o ludziach wstrzemięźliwy, zdanie swoje opierał zawsze na uzasadnionej podstawie niczyjej sławie nie szkodząc. Każdy, kto Wileckiego bliżej poznał, przyznać musi, że on nie za czapkę ani papkę jest teraz w swojem rodzinnem mieście prezydentem sądu.

Szli dalej po starszeństwie zdolny, pracowity i cichy, ale w życiu nieporadny Fedynkiewicz i równy mu prawie latami służby, grzeczny, ambitny i bardzo zdolny teoretyk, a nader zamiłowany w swym zawodzie,

Dr. Schalay (dziś sędzia apelacyjny we Lwowie). Najprzystojniejszym z nas był Kazik Angerman (dziś sędzia sądu najwyższego w Warszawie). Ale i wewnątrz przystojnie przystrojoną miał on. głowę i serce na swojem miejscu. Był to nadzwyczaj dobry, uczynny kolega. Smolnicki z tego tytułu, że się dostał do prokuratorji i występował w sądzie powiatowym jako funkcjonarjusz swej władzy, trzymał się od nas nieco z daleka, przybierając nienaturalnie poważną i groźną minę. Poza urzędem był to dobry człeczysko, wcale nie straszny. — Hesse (zawsze modnie ubrany, w prasowanych pantalonach) nie miał czasu trzymać z nami kompanji, zbyt go bowiem zajmował „świat kobiecy" (nie ten Połonieckiego). — O Malarkiewiczu poprzednio już wspomniałem. Był jeszcze wysoki, chudy Gudzio, zawsze roztargniony i zawsze dla każdego do usług gotowy. Do najmłodszych zaliczali się Dmochowski (dziś radca w Przemyślu) i piszący te wspomnienia.

Któżby w Przemyślu nie znał Dmochowskiego! Zawsze pogodny, wesoły, na każdym sympatyczne musi zostawić wrażenie. Urzędnik z niego obowiązkowy, serdeczny kolega. Godzi się tu wspomnieć o rodzicach Dmochowskiego. Ojciec jego, proboszcz w Jaksmanicach pod Przemyślem, kapłan wzorowy a mąż prawy i powszechnie szanowany, piastował urząd dziekana przemyskiego; matka uczciwem, zawsze pogodnem swem obliczem już na pierwsze wejrzenie budziła u każdego sympatję i szacunek. Zacny ich dom znany był na całą okolicę z gościnności. Szczególnie my, auskultanci, jako koledzy ich syna, byliśmy zawsze mile tam widziani i serdecznie przyjmowani. Wstępując w ich progi czuło się, że to siedziba dobrych ludzi.

Po odejściu mojem z Przemyśla zajął moje miejsce auskultant Nanowski. Nie należał on zatem do naszej dwunastki, a mimo to nie mogę się powstrzymać, by jego pamięci kilku słów nie poświęcić. Poznałem go dopiero na trzynaście lat przed jego zgonem (umarł 30. XI. 1926 r.). Znajomość nasza w niedługim czasie zamieniła się w zażyłość i przyjaźń, co nam tem łatwiej przyszło, żeśmy byli rówieśnikami. Przez dwadzieścia lat kierował on sądem powiatowym w Dobromilu, gdzie pozostawił po sobie niezatartą pamięć sędziego sprawiedliwego i prawego człowieka. Urzędnik znakomity, taktowny i delikatny przełożony, a wobec swych przełożonych otwarty i naturalny, zarówno jednych, jak drugich, jak i wszystkich, z którymi poza urzędem się stykał, jednał sobie szlachetnością swej duszy, czystością zamiarów. Umarł jako emeryt i właściciel Ustrzyk Dolnych, przez wszystkich, którzy go znali, szczerze żałowany. Pozostała po nim wdowa Otylja z Trzcińskich, która dla ukochanego męża swego w ostatniej jego długotrwałej, ciężkiej i nieuleczalnej chorobie prawdziwym była aniołem opiekuńczym, zasłużyła sobie na to, aby ją podać jako wzór żony wiernej, a w usługach dla towarzysza życia swego nieprześcignionej siostry miłosierdzia.

Mówiąc o sądzie przemyskim z ostatnich dziesięciu lat zeszłego stulecia trudno pominąć tak charakterystyczną postać, jaką był dyrektor ekspedytu Eberle. Niemiec z urodzenia, były austrjacki nadporucznik artylerji, dla żony Polki wystąpił z wojska, nauczył się po polsku tyle, aby w tym języku mógł urzędować, objął ciężką posadę urzędnika kancelaryjnego w Prze-

myślu i tu między nami pracowitego żywota swego dokonał. Był to nader obowiązkowy urzędnik, pilny, pracowity, w każdej literce skrupulat. Jako przełożony trzymał swój oddział w wojskowym rygorze, nikomu jednak sprawiedliwości nie odmówił. Był przyjacielem auskultantów i chętnie z nimi rozmawiał (przeważnie po niemiecku), tytułując każdego z nich: „Herr Sekretär“.

W palestrze wybił się na naczelne miejsce nie rozległą ani pańską klientelą, lecz prawością charakteru, duszą wzniosłą Skórski, prezydent Izby adwokackiej. Poważnymi i poważanymi byli także Rosenbach, zdolny cywilista, Leonard Tarnawski i Glanz. — Do najlepszych obrońców w Przemyślu zaliczał się adwokat Doliński.

Odbywali podówczas praktykę sądową koncypienci adwokaccy Peiper, Błażowski, Jakób i Henryk Mesterowie, Scheinbach, wszyscy godni ludzie i dobrzy juryści.

Notarjuszami byli Frankowski i Rokicki, obaj nie tyle dla poważnego wieku swego, jak dla osobistych zalet ogólnie szanowani.

Nie miałbym spokoju, gdybym te wspomnienia zamknął bez wzmianki o jednym moim koledze szkolnym. Był nim Herman Goldhammer. W czasach, które opisuję, zajmował on skromne stanowisko koncypienta u adwokata Dra Smutnego w Przemyślu. Ośm lat siedziałem z nim na jednej ławie szkolnej w Samborze, a w Przemyślu stołowaliśmy się razem przez rok w jednym domu. Miałem tedy czas poznać przepiękną jego duszę. Niezwykle uzdolniony, a tak szlachetny i deli-

katny, że trudno było patrzeć nań bez rzetelnej czci dla jego osoby. Pamiętam, jak wzniosłym, pełnym poetycznego polotu był jego artykuł w warszawskim „Izraelicie" z powodu święta pojednania (sądnego dnia) w r. 1891. — Walka o chleb zniszczyła słaby jego organizm. Szybko postępująca choroba piersiowa zabiła młodzieńca, który rwał się do pracy dla dobra polskiego społeczeństwa.

Ze wszystkich osób tu wymienionych kilka jeszcze zaledwie nie doszło do wyznaczonego sobie przez Stwórcę kresu. Reszta opuściła już doczesność. O tych zmarłych nawet najbliżsi ich krewni lub przyjaciele może kiedy, może raz w rok wspomną jakiem westchnieniem. Świat przywalił ich kamieniem zapomnienia. Wierzymy jednak, że oni za swe cnoty i zasługi otrzymają nagrodę we wieczności.

Stary Sącz, w grudniu 1927 r.